

Jankowski Placyd Wspomnie-
nia szkolne i uniwersy-
teckie (Kłoby 1884).

Wspomnienia szkolne i uniwersyteckie

Johna of Bycalpa (ks. Placyda Jankowskiego).

(Urywek z pamiętnika pisanego dla własnych dzieci 1836 r.)

Ritony 1884, nr. 983.

Szkoły Swisłockie. — Szkoły Brzeskie. — Uwagi o szkołach zakonnych. — Główne Seminaryum Wileńskie. — Koledzy: Ignacy Kosowicz, Tomasz Dobszewicz, Ignacy Hołowiński. — Profesory: Kłagiewicz, Bobrowski, Skidell, Sosnowski, Fijałkowski, Dowgird, Capelli, Münich, Leon Borowski, Żukowski, Oczapowski. — Regensi Seminaryum: Herburt, Markiewicz. — Kaznodzieje: Borowski, Trynkowski i Gaśowski.

Początkowe nauki odebrałem w domu pod przewodnictwem ojca. Za dojściem do lat ośmiu, oddany zostałem do szkół w Swisłoczy, gdzie brat mój kończył już gimnazyalne nauki. Niestety, nie mogłem być w tych wybornych szkołach dłużej nad rok jeden, gdyż Jan, po ukończeniu szkół, wyjechał do Uniwersytetu, a rodzicom moim ze wszystkich innych względów dogodniej było oddawać mnie do Brześcia, trzykroć od Swisłoczy bliższego, i w którym szkoły liczyły się też na stopniu gimnazjum. Skończyłem więc nauki szkolne w Brześciu, lecz po pięciu latach, w których ciągu, jak brzmiały świadectwa nauczycieli, uczyłem się dobrze, nie odniosłem żadnej innej rzeczywistej korzyści, prócz tej tylko, że podrosłem; sławne *misistis vitulum, remittimus vobis bovem* *), mogło zastosować się do mnie w całej mocy. Z tym wszystkiem nie zbywało mi na pojętności i mogę oddać sobie to świadectwo, że nauka nie była dla mnie ciężarem. Lecz niekorzystniej kończyły się trudy i tych, którzy więcej mieli ode mnie zdolności i usilniejszej dokładali pracy. Widoczna więc, że nie była tu wina na stronie uczących się wyłącznie, i teraz mocniej jeszcze utwierdzam się w tym przekonaniu. Zapewne, że więcej niżeli chwalebne jest poświęcenie się zgromadzeń zakonnych, trudniących się wychowaniem młodzieży; lecz dopóki utrzymywane pod kierunkiem tych zgromadzeń zakłady szkolne wyjętymi były z pod bezpośredniej wiedzy uniwersytetu, potrzeba było nader szczęśliwego zbiegu okoliczności, ażeby dosięgały swojego celu. Główną w tej mierze przeszkodą był niedostatek dobrych nauczycieli, nie żeby zakonom zbywało na ludziach pełnych zdolności i chwalebnych chęci.

* „Przysłałście nam cielka, odsyłamy wołu“

lecz, że ludzie tego rodzaju nader krótko pracowali w zawodzie naukowym i postępowali zwykle na zakonne urzędy. Tak nazwane nowicyaty, chociaż utrzymywane po większej części pod sterem ludzi biegłych i zasłużonych, nie zaradzały bynajmniej temu niedostatkowi, gdyż ograniczały się pospolicie kursami teologii i filozofii; cel ich zatem był więcej zakonny, niżeli naukowy. Gdy nakoniec zwierzchność zakonna, ulegając jawnej potrzebie, zaczęła posyłać swoją młodzież do uniwersytetu na nauki świeckie, zjawiała się nowa niedogodność, która przetrwała aż do ostatniej reformy szkół zakonnych. Nie mówię tu o krótkości czasu, na jaki posyłano z razu młodych zakonników do uniwersytetu, gdyż to może być usprawiedliwionem rychłą potrzebą zapelnienia posad nauczycielskich, i nie zupełnie jeszcze naówczas pokonanym przesądem zgromadzeń zakonnych przeciwko uniwersytetowi; nie myślę także powtarzać zarzutu zbytnej łatwości, z jaką w początkach udzielano zakonnikom stopni uczonych, gdyż łatwość ta jeszcze lepiej daje się usprawiedliwić, i zmniejszając się z każdym rokiem, przyniosła z czasem dobre owoce: mówię tu o nadużyciu, które nie pierwój ustalo, aź władza mianowania i przemiany nauczycieli została odjęta Prowincyałom. Trudno wypowiedzieć, jak zgubnymi były skutki tego nadużycia dla wzrostu szkół klasztornych; nie przesądzając słuszności skarg władz zakonnych, iż wychodzący z uniwersytetu często zaniedbywali ustawy i unikali karności, ani też przypisując tych skarg zadawnionej niechęci i przesądowi ku uniwersytetom, nie można zaprzeczyć, iż obediencye, odrywające od obowiązków nauczycieli, lub przeznaczające im do wykładu takie przedmioty naukowe, do jakich zgoła nie byli usposobieni, najgorsze wydały skutki. Przemiany te, bądź miały na celu przypomnienie ustawy nieograniczonego posłuszeństwa, bądź upokorzenie zarozumiałych i udowodnienie im tej niewątpliwój prawdy, iż stopień uniwersytecki nie udziela bynajmniej daru wszechwiedności; zawsze jeonak były złem straszliwym, na które patrzyliśmy własnymi oczyma.

Rok 1825 przepędziłem napróżno. Niestety, próżnowanie nie tyle jest złem samo przez się, ile ze swoich przyrodzonych skutków. Jest to rodzajna niwa nagannych nałogów, i plony tej niwy, jak ożywione snopy niwy Jakóba, które kłaniały się we śnie patryarsze Józefowi, same idą do ręki właściciela.

W r. 1826, nie bez przeszkód, jakie mi stawał wiek i małe usposobienie, zostałem wysłany do Głównego Seminaryum. Przyjęcie do tego zakładu powinienem uważać za szczególne szczęście. Czcigodny starzec, profesor uniwersytetu i kapelan seminaryum, Dowgird, zasadzając się więcej na pra-



widach fizyognomiki, niżeli na moich odpowiedziach, dał zdanie, że mogę się uczyć, i na jego słowo zostałem przyjęty. Pierwszy rok nauk uniwersyteckich, jak pospolicie, był dla mnie najcięższym. W następnych latach, nie zaniedbując nauk przepisanych, mogłem już swobodnie poświęcić się czytaniu takich ksiąg, które miały dla mnie szczególny powab: to były literackie. Jeżeli z nich odniosłem jaką korzyść, powiedzieć mogę bez zarzucenia i niewdzięczności ku nauczycielom, że wieniem to sobie samemu. Główne seminaryum było bezwątpienia jednym z zakładów najlepiej urządzonych w Europie, lecz co go czyniło takim, to niewątpliwie wyborna biblioteka miejscowa wolny wstęp do uniwersyteckiej.

W uniwersytecie bowiem nie to, co w szkołach; więcej w nim zawisło od zdolności, pracy i chęci uczących się, niżeli od najlepszych nauczycieli. Śmiem nawet utrzymywać, że pomierni nauczyciele nie przeszkadzają bynajmniej, aby uniwersytet był uniwersytem, i przynosił zbawienne dla oświaty owoce. Ludzie genialni zawsze są rzadkimi, a dar wykładu podług natchnienia należy dziś prawie do zatraconych podań. Główna korzyść uniwersytetów zasadza się więc zawsze na tém, iż zgromadzona na jedno miejsce i przenikniona potrzebą nauki młodzież, może porównywać swoje zdolności, poświęcać się wyłącznie nauce upodobanej, i rozprzestrzeniać zakres swoich wiadomości z myślą o całym jego ogromie. Uczącym się znajome już są dobrze pobudki do zamięlowania nauk i nienvsznienia się

z postępów; dla mistrza pozostaje więc tylko przedstawić obecny stan nauki i wskazać pomoce do jej głębszego poznania. Takież są właśnie warunki książki elementarnej, i dla tego nie waham się powtórzyć raz jeszcze, iż wpływ uniwersytetów nie zależnym jest do nauczycieli.

Można żyć długo w jakimkolwiek wielkim mieście i opuścić je, nie zaciągawszy słodkich związków przyjaźni. Lecz opuszczać po kilku latach zakład naukowy, nie unosząc z sobą uczuć szacunku i szczególniejszego przywiązania ku któremukolwiek z towarzyszy, jest to niewątpliwym dowodem skażonego i niezdolnego do przyjaźni serca. W zakładach duchownych jakaś podejrzliwa bojaźń, której nawet nie umiem nazaczyć przyczyny, powoduje zwierzechników do zapatrywania się niechętnym okiem na ściślejsze związki pomiędzy młodzieżą, i dlatego zakłady te nie są sławne z przyjaźni. Być może, iż dzieje się to wskutek mylnego mniemania, że przyjaźń przeciwi się chrześcijańskiej powszechnej miłości bliźniego. Szczęściem przesąd ten, od którego (prawda każe mi to wyznać) nie zawsze byli wolnymi przełożeni Głównego Seminaryum, nie miał żadnego wpływu na

uczniów tego instytutu. Przykłady przyjaźni szlachetnej, opartej na podobieństwie uczuć, skłonności, i na wzajemnym szacunku, nigdy nie były rzadkimi w tym wybornym zakładzie, i czas okazał, że urojone obawy były czémś niewłaściwem.

Chciałbym, kochane dzieci, abyście dzieliły uczucia waszego ojca dla tych, którzy z nim w Seminaryum Wileńskim szczerą połączeni byli przyjaźnią. Napomknę tu o tych tylko, z którymi od roku 1830 już się nie widziałem, i których Bóg wie, czy mi obaczyć przyjdzie. Kossowicz Ignacy, (rodem z powiatu Braclawskiego) w przeciągu czteroletniego pożycia był dla mnie bratem w zupełnym tego wyrazu znaczeniu. Posiada on najlepsze serce, jakiego tylko można żądać, duszę szlachetną, nieprzystępną obłudzie, wyobraźnią nader żywą, i czysty rozsądek. Obdarzony pięknymi zdolnościami i poświęcający się naukom z zapałem, uczynił on w nich w krótkim przeciągu czasu postępy zadziwiające. Lecz ta nieograniczona żądza nauk i łatwość, z jaką się mu one użyczały, przywiodły go do lekkomyślnego kroku. Jeszcze przed wyjściem z Głównego Seminaryum, powziął on myśl wyrzeczenia się prawa, naszemu obrządkowi służącego, i pozostania beżżennym, dla swobodniejszego oddania się naukom. Było to bezwątpienia postanowienie szlachetne i godne uwielbienia, lecz jam znał ognistą duszę mojego przyjaciela i byłem przekonany o niepodobieństwie téj myśli. Pomimo to, spełnił on ją zaraz po ukończeniu Seminaryum, i przyjąwszy stopnie duchowne, wyjechał do Uniwersytetu petersburskiego. Uplynęło tym sposobem trzy lata. W ciągu ich Kossowicz coraz mniej i mniej rozwodził się w swoich listach nad korzyściami życia beżżennego pod względem naukowym, nakoniec w jednym z nich wyczytałem odwołanie wszystkich zarzutów przeciw stanowi małżeńskiemu, przypisanie mi daru prorockiego i panegyryk jakiś kobiety, którą mój przyjaciel nazywał swoją żoną. Z razu wziętem to wszystko za żart, chociaż nie wiedziałem, coby on znaczył; lecz w kilka dni potem dowiedziałem się z pewnego źródła, że mój pojednany ze stanem małżeńskim przyjaciel ożenił się doprawdy. Jak Dmóchwski, opuścił on stan duchowny, i dziś jest nauczycielem gimnazyum w Krożach. *)

*) P. Kosowicz, mając sobie użyzione do przeczytania wspomnienia Johna of Dycalpa po śmierci jego, w tém miejscu na marginesie manuskryptu zrobił taki dopisek: Ten P. Ignacy Kossowicz był unitą; chciał nim pozostać na zawsze. Kiedy mu zaproponowano być prawosławnym, on

się i na to zgodził, tylko z warunkiem rzucić stan duchowny, w którym powinien był piastować wyższe urzędy, i rządzić duszami drugich, do czego on nie miał ani chęci, ani zdolności. Do Prawosławia jego nawrócili biskupi unicy: Józef i Bazyl. Bóg jego pobłogosławił w zawodzie nauczycielskim i oto już lat 40, jak on honorowie spełnia obowiązki swojego stanu. Diejstwitielnyj Statskij Sowietnik i Kawaler, profesor Imperatorskiego Warszaw. Uniwersytetu, Ignatij Kosowicz 1873, 26 Julia.“

Wspomnienia szkolne i uniwersyteckie

Johna of Dycalpa (ks. Placyda Jankowskiego).

(Urywek z pamiętnika pisanego dla własnych dzieci 1836 r.)

nr. 984

(Dalszy ciąg. — Patrz Nr. 983.)

Dobszewicz Tomasz (rodem ze Żmujdzi). Pod względem słodyczy i jednostajności temperamentu, może się z nim porównać jeden tylko Maliszewski, o którym powiem potem. Z tym szczęśliwem usposobieniem nie mógł on mieć nieprzyjaciół, ani nawet niechętnych; lubiono go powszechnie, i—aby się nie obeszło bez ugryzka dla Żmujdzi— nazywano aniołem-opiekunem swojej ojczyzny. W rzeczy samej, jeżeli już nie widzimy nieprzyzwoitości w porównywaniu się z aniołami, imię anioła mogło-by przystać Dobszewiczowi. Nie miał on jednak tej zupełnej nieczułości na umyślne urazy i tego dobrowolnego poddania się cudzym rachubom, jakich zwykle wymaga się w zamian za to nazwisko; lecz zda mi się, że nie są to i cechy naszego podobieństwa z duchami. Wyborny rozsądek i szlachetna prostota, to charakterystyczne rysy Dobszewicza. Takim jest on w swoich listach i takim byłby w pismach, jeśli kiedy jakie ogłosi. Nie miłszego nad jego styl płynny, naturalny i, co jest prawie bajecznym w Żmujdzinie, prawdziwie polski. Kochany mój Dobszewicz jest sekretarzem przy Biskupie Żmujdzkim. Do miejsca tego przywiązaniemi były niegdyś liczne skargi, a teraz miło mi jest słyszeć oddawaną przyjacielowi mojemu pochwałę.

Z Ignacym Hołowińskim (jest on rodem z Wołynia) zbliżyliśmy się już w czwartym roku naszego pobytu w Seminarjum. Przez pierwsze trzy lata był on prawie niedostępnym. Niemiecka żelazna pilność zabierała mu wszystkie chwile, i te nawet, które przyrodzenie na sen, a ustawy na wytechnienie przeznaczały. Nie wiem, czy się on rozbierał pięć razy do roku, czy kiedy kładł się i wstawał, czy spróżnował choć jedną chwilę. Jak rajskiego ptaka, nie widziano go nigdy speczywającym. I owoce tej nadludzkiej pracy były też nadzwyczajne. Wstąpiwszy do zakładu z małemi przygotowaniami, bez cudzej pomocy poznał on wszystkie

niemal nowsze i uczone języki, przeczytał wszystkie dzieła klasyczne, i zgłębił literaturę krajową. Jeżeli dodać do tego niepospolitą zdolność poetycką i pisma w obojgiej mowie, bądź własne, bądź tłómaczone, nad któremi już w Seminarjum wiele i szczególnie pracował, zdumiewać się przychodzi, jak i kiedy mogło do tej znużonej duszy zlatywać natchnienie?

I teraz jeszcze wspominam z bojaźnią, że piękne te i tak pracowicie kształcone zdolności omal nie zostały zniszczonemi ręką szaleńca. Nie podobna zda się wierzyć, ażeby zawiść naukowa mogła posunąć się aż do kresu, jakiego [tylko dosięga źródło miłośna w dzikiem i zepsutem sercu; lecz skłonny raczej jestem do mniemania, iż tu działało

pomieszanie. Nędznik, dręczony postępami i wyższością Hołowińskiego, postanowił wydrzeć mu oczy.

Nie wymieniam nazwiska tej nikczemnej duszy, przez wzgląd, iż tak się nazywał jeden z wielkich ludzi naszego narodu, i przez szacunek dla zakładu, w którym odebrałem wychowanie. Szczęściem namiętność osłepiła go aż do tego stopnia, iż chciał dopełnić zbrodni przy świadkach. Pod pozorem jakiegoś tajemnicy, ujął on za głowę biednego Hołowińskiego i poranił mu nożem powieki; lecz niebo nie dozwoliło dokonać zamysłu: widok krwi zatrzymał na chwilę niewprawnego zbrodniarza, a w tém dopadli i rozzbroili go przytomni. Nie zapierał się on swojego nikczemnego zamiaru i, zapytywany o przyczynę, odpowiedział z uśmiechem: że Homer, Hezyod, Ossyan, byli także ślepyimi.

Hołowiński, już kanonik Żytomińskiej katedry, podróżuje teraz po Europie. Wszystko wnosić każe, iż będziemy w nim mieli znakomitego pisarza. Poetyckie pisma, którym on jest więcej oddany, nosiły na sobie jeden tylko niedostatek: zbyt dużą obfitość wyobraźni i wygórowane, zbliżone aż do przesady, podniesienie uczuć. Lecz tego dwojga nie uniknęli za młodu wszyscy niemal wyższego rzędu poeci; można nawet powiedzieć, że są to nieuchronne warunki dla wieszczów naszych czasów. Umiarkowana wyobraźnia i mniejszy zapal nie wniosły-by powiewającego zewsząd chłodu.

Miałbym sobie do wyrzucenia, gdybym w tém miejscu nie oddał hołdu czci i wdzięczności tym, pod których sterem przykładałem się do nauk. Imiona profesorów Uniwersytetu Wileńskiego należą wprawdzie mniej więcej do historii literatury naszego kraju, lecz biografie, jakie nawzajem piszą o sobie profesorowie, wszystkie niemal odlane są na wzór pochwalnych mów Akademii Paryzkiej, z których, jak mawiał Wolter, tylko wyrozumić można, iż Richelieu był nader wielkim człowiekiem, zmarły

akademik wielkim człowiekiem, a jego następcą będzie też swojego czasu wielkim człowiekiem. Wspomnienia i postrzeżenia uczniów, jakkolwiek drobniagowe, często jednak dają wierniejszy rys zasług i zalet mistrza, niżeli rozprawę, czytane na uczynnych posiedzeniach. Wspomnę więc o nauczycielach, których słuchałem w uniwersytecie, z uszanowaniem należnym ich pamięci — i prawdzie.

Zarządzający dziś Dyecezyą Wileńską, Biskup Kłagiewicz, za mojego pobytu w Seminarium skończył zawód nauczycielski. Słuchałem go jednak jeszcze dwa lata, i z chlubą powtarzać będę, że mi się dostało słyszeć choć jednego z patryarchów. W rzeczy samej, było coś patryarchalnego, wprost idącego do serca, w prostym wykładzie tego czcigodnego nauczyciela. Widzieliśmy w nim najwymowniejszy przykład tej prawdy, że cnotliwe życie dodaje podwójnej ceny słowom człowieka. Były to tylko słowa rozsądku, wolnego od przesądów i przeniknionego miłością dobra powszechnego; z tém wszystkiem zdały się nam one czémś zupełnie nowem, pociągały uwagę i władały naszym przekonaniem. Być może nawet, że wystąpienie się Kłagiewicza, niekiedy szorstkie, niezwykajne, lecz zawsze dobitne i zgodne z prawdą, głębiej wrażało się w pamięć, niżby zdołały wyrazy zimnej poprawności. Wykładał on nam teologią dogmatyczną i historią kościelną. W obudwu tych przedmiotach znane mu były tylko dzieła łacińskie i francuzkie.

Czterej inni profesorowie fakuletu teologicznego byli niegdyś uczniami Kłagiewicza. Bobrowski, który lat kilka podróżował po Europie z korzyścią, piérwszy dał poznać Wilnu obecny stan nauk teologicznych. Nieszczęściem prace tego uczonego człowieka, już przygotowane do druku, zgorzały. Odtąd ograniczył się on wykładem swojego przedmiotu: exegetyki biblijnej. Wykład ten oznaczał się ciągle pięknym językiem i poglądem na rzeczy z wyższego stanowiska.

Jako człowiek, Bobrowski wyższym jest nad wszelkie pochwały. Dusza piękna, szlachetna, serce czułe, wylane, charakter prawy i sprężysty. Od kilku lat, jak go znam bliżej, odkrywam coraz więcej powodów do kochania go i poważania. Nieporównana szkoda, że wiek i odwyknienie od prac literackich nie dają już nadziei, aby on nam zоста-

wił jakąkolwiek godną siebie pamiątkę. Nic miłszego nad jego listy. I w ogólności włada on stylem wybornie i z wielką łatwością.

Profesor Skidełł, mumia wskrzeszona. W rzeczy samej, patrząc nań i słuchając jego wykładu, zdawało mi się czasem, że wskrzeszony przez Zbawiciela Łazarz przemawia do nas językiem tamtego

świata. Był to głos rozsądku, wolnego od namiętności i zda się nieodorozumiewającego się, aby mogły być w innych namiętności. Żaden przedmiot nie był obcym temu gruntownie uczoneму człowiekowi; w języku polskim i łacińskim tłómaczył się on z niewymowną łatwością i z doskonałą znajomością rzeczy, lecz zaniedbane wysłowienie i angielska monotonia nie dozwalały prawie spodziewać się, aby opowiadane przezeń prawdy były ważne i wielkie. Skidełł i zmarły niedawno profesor Dowgird, są to dwaj święci, których znałem, i oba posiadają przytém sławę gruntownej nauki. Lecz Skidełła, nie nadużywając wyrazu, można nazwać uniwersalnym.

Zmarły w 1826 r. profesor Sosnowski był mężem waszjęj nieporównanej ciotki. Zaledwo kilka razy byłem na jego lekcjach, lecz pozostało mi o nich nader miłe wspomnienie. Nie wchodząc w inne zalety wykładu, o których wówczas sądzić jeszcze nie mogłem, pamiętam, że ujął mnie przyjemny organ mówienia i czysty język polski. Sosnowski deklamował swoje lekcye i przygotowywał się do nich pracowicie. Usiłowanie dorównania swojemu wymownemu poprzednikowi (Chodanemu), często i gorliwie mawiane kazania, a nadewszystko zaniedbana w początkach słabość piersiowa, przed czasem zaprowadziły go do grobu. Bobrowski skreślił krótki rys jego życia. Jam nie znał go dość blisko, lecz gdybym nawet nie miał innych świadectw zdolności i cnót zmarłego, żal waszjęj ciotki, która na całe życie włożyła po nim żalobę, byłby dla mnie dostatecznym dowodem, że przez śmierć jego ponieśliśmy wielką i nieocenioną stratę.

Fijałkowski, którego także słuchałem rok jeden, może się nazwać anachronizmem w fakultecie teologicznym. Jeśliby kto na wzór Chattertona, Ligori, Wagenfelda, i innych podrabiaczy pism starożytnych, umyślił nas zadziwić jakimkolwiek pomnikiem z wieków średnich, dość-by miał na przejęciu się duchem i stylem Fijałkowskiego. Największa przebiegłość i sztuka nie zdołały-by umiejętniej przybrać barwy starożytności, jak tu natura uczyniła przez igraszkę. Po piérwszych lekcjach Fijałkowskiego, których z uczniów, z tą szubrawską nienaśladowną trafnością, właściwą tylko uczniom, zastosował do niego przydomek sławnego Skotta: *Doctor subtilis*, i odtąd nie nazywano go już inaczej. Bywały wszakże chwile, że przez sprzecznność, która-by nawet świętego pobudziła do śmiechu, mistrz nasz piorunował przeciwko Scholastykom. Ach! była to Medea, przeklinająca własne dzieci. Z tém wszystkiem, pomimo pedanteryi, która już w naszym wieku jest do nie przebaczenia, Fijałkowski wykładał swój przedmiot gorliwie i z całej duszy chciał być pożytecznym.

Wspomnienia szkolne i uniwersyteckie

Johna of Dycalpa (ks. Placyda Jankowskiego).

(Urywek z pamiętnika pisanego dla własnych dzieci 1836 r.)

nr 985

(Dokończenie. — Patrz Nr. 984.)

Profesor Dowgird, o którym już wam wspominałem, wykładał w Uniwersytecie logikę i filozofią. Nie miał on daru tłumaczenia się, a jakby dla kontrastu, był poprzednikiem i następcą genialnego Gołuchowskiego.

Z tém wszystkiém, czeigodny ten człowiek pisał po polsku wybornie i poświęcał się swojemu przedmiotowi z zapalem. Pełen najczystszej pobożności i wysokich cnót chrześcijańskich, był on powszechnie szanowanym; lecz, jako pisarz, nie zdołał ująć płochych żartów młodzieży, z powodu drobnostki. Uważał-bym za rzecz bląhą i niegodną pamięci zasłużonego człowieka wspominać o tém, gdyby fraszka, o której mam mówić, nie była skazą stylu dość pospolitą i u innych pisarzy. Zmarły Dowgird miał swoje ulubione słowo: *wyłuszczać*. Nie było lekeyi, aby go nie użył kilkanaście razy, a w swoich pismach, jak wyliczyli próżniacy, miał je powtórzyć przeszło tysiąc razy.

Ztąd poszło, że młodzież Uniwersytecka, pod karą śmiechu, nie ważyła się już używać tego pięknego słowa, nazwała je „dowgirdowskiém“, i parskala ze śmiechu, ilekroć szanowny starzec wymówił je w zapomnieniu. Śmieszność, jakkolwiek powtarzana, jeżeli daje się słyszeć z katedry nauczycielskiej lub z kazalnicy, ma, że tak powiem, przywilej nie starzenia się, i zajmuje zawsze uwagę słuchaczy z uszczerbkiem dla prawd opowiadanych.

Szczegóły, których się tu dopuściłem, nie ubliżają bynajmniej zasługom Dowgirda. Ojciec Wasz miał dla niego szczególne jeszcze obowiązki. On mi ułatwił przyjęcie do Głównego Seminarjum, o czém już wam wspominałem, i jakby było mojem przeznaczeniem być obowiązany za całą przyszłość temu czeigodnemu człowiekowi, on mię po wyjściu z Seminarjum zaszajmował z Marszałkiem Czudowskim i polecił do tego nieporównanego domu.

Prawo kanoniczne wykładał nam profesor obojga praw Capelli. Nie wiem, jakim on był w pierwszych latach po objęciu katedry w Uniwersytecie Wileńskim; za moich czasów miał już pensyą emerytalną i piękny dziedziczny majątek niedaleko Wilna. To zabezpieczenie się względem przyszłości spowodowało go zapewne do odrzucenia maski i ukazywania się na lekcyach takim, jakim był w domu i jakim go utworzyło dobre włoskie niebo. Nie przebrany w żartach i nie krępujący się

w ich wyborze, zamiast prawa kanonicznego, dawał on nam leky gimnastyki dowcipu, i widoczna było, że uważał te leky za część swojej dyety. Z tém wszystkiém, był on dość biegłym w swoim przedmiocie i tłumaczył się nader płynnie, lubo nie zupełnie wzorowie, w języku łacińskim i francuskim: co przekonywa, iż zarzut czyniony Uniwersytetowi Wileńskiemu, jakoby Capelli, przed powołaniem do tego Uniwersytetu, był dyrektorem teatru marionetek, może być bezzasadnym.

Wielkiego Grodka już nie zastałem. Następcą jego był Münnich, który za moich czasów i umarł w Wilnie. Münnich był najświeższym dla Wilna przykładem, jak niebezpiecznie jest dowierzać pierwszemu wrażeniu. Po pierwszych jego lekcyach jednomyślnie okrzykniono, że Grodek został przewyższony. W rzeczy samėj, niepodobna było żądać wykładu swobodniejszego, ani słyszeć piękniejszego i ozdobniejszego łacińskiego języka. Nie znajdowano porównań i pochwał. Lecz entuzjazm nie długo potrwał. Godziny literatury łacińskiej i greckiej zaczęły być poświęcane autobiografii profesora, potem nastąpiło długie opisanie przestarzałych uczonych, potem wszystkich uniwersytetów Rzeszy Niemieckiej, potem powtórzenie i powtarzanie powtarzanego. Po kilku miesiącach, wszyscy się przekonali, że leky Münnicha były uczoną katarzynką, w której na pierwszym miejscu figurowało: Ego, potem Wolf, Heine, Mitscherlich, Buttman i tak dalej, i potem znowu Ego, Wolf, Heine, Mitscherlich, Buttman i tak dalej. Okazało się, że

Münnich nie lubił czytać i nie chciał wiedzieć o tém, co się mogło dzieć bez niego w uczonym świecie. Obojętność tę rozciągnął nawet i do Niemiec. Słuchacze zapłacili mu tąż samą monetą, lecz obojętność ich przeszła wkrótce w oburzenie, a potem w uraganie i pogardę, gdy Münnich, wzięwszy pozostałe po ś. p. Grodka papiery, zaczął je z razu krytykować z निकземną stronością, a potem wyklądać z nich leky bez najmniejszej odmiany. Jako człowiek, Münnich odrażał wadą niepojętą w beżennym, haniebną w oświeconym: skapstwem, posunięciem do ostateczności. Profesor Onacewicz, z właściwym sobie dowcipem, powiedział raz o nim: „Patrzcie! Münnich chodzi w koldrze!“ I w rzeczy samėj, zwyczajny ubiór był też dla niego pościelą. To nierozsądne ujmowanie najpierwszym potrzebom przyprowiło go o śmierć w kwiecie wieku. Przeziąbł, być może nawet, że w swoim nieopalaném mieszkaniu, i—czy-byście uwierzyli? nie chciał się rozstać z kilku złotemi na pijawki? Umarł z zapalenia, od nikogo nie żalowany.

Można-by było zarzucić profesorom Uniwersytetu Wileńskiego, iż przez niechęć ku pełnemu talen-

tów cudzoziemcowi nie starali się w nim obudzać nikczemniejszych zdolności, lecz wolnymi są oni od wszelkiego w tej mierze zarzutu. Skąpstwo nigdy nie jest towarzyskiem, a jeśli, co często się zdarza, połączone jest jeszcze z niemiecką uczonością, stroni od otwartości i od stosunków z ludźmi, jak od podwójnego niebezpieczeństwa: wydania pieniędzy i wiadomości.

Lekcyje estetyki i literatury polskiej wykladał nam Leon Borowski. Nie mógł-bym wybrać wspomnień do dnia dzisiejszego stosowniejszych nad te, które mi tu przyszły z porządku. Są one dla mnie tak uroczyste (darujcie mi to porównanie) jak dzisiejsze święto*). Profesor Borowski jest tęp dziś dla nas, czém Hazlitt dla Anglików, czém Villemaine i Saint-Beuve dla Francuzów, czém Menzel dla Niemców. Sądy jego o przedmiotach i dziełach literackich noszą na sobie cechę wyższego rzutu oka, głębokiej prawdy, wyborzonego smaku i szczęśliwego taktu krytycznego. Nieocenionym było-by darem dla mowy polskiej, gdy-by on lekcyje swoje drukiem ogłosił. Każdy, komu nie ubliżyło przyrodzenie uczucia piękności i upodobania w naukach nadoznych, wychodził z tych lekcyi przenikniony szlachetną dumą ze swojego mistrza i wyższy na parę cali, jak niegdyś Grek po wysłuchaniu Peryklesa. Nie wiele było słów we wszystkim, co mówił Borowski, i tych słów szukał on z trudnością, nie dlatego, aby mu brakowało pamięci i daru tłumaczenia się, lecz że przez szczęśliwy nalóg nie używał nigdy słów niepotrzebnych. Pisma jego, łatwo jest przepowiedzieć, staną się miarą doskonałości, a jedyny zarzut, jaki je czeka, ten będzie: dla czego tak długo leżały w tekach?

Zmarły niedawno Żukowski wykladał lekcyje hebrajskiego i greckiego języka. Odróżniony i zachęcony przez niezapomnianego Grodka, w dojrzałym już wieku przyłożył się on do tych języków i poświęcił im najlepsze swoje lata. Wydane przezeń dzieła elementarne i pomniejsze pisma filologiczne są dowodem jego pożytecznych prac i zdolności. Za moich czasów, zacny ten człowiek przeżył już siebie samego i był tylko zwaliskiem. Nazywano go powszechnie dobrym człowiekiem, w takim znaczeniu, jak Francuzi nazywali dobrym swojego Lafontaine'a, i jak nasi ojcowie używali tego wyrażenia: *dobra dusza*. W rzeczy samej, trudno jest widzieć twarz, na której-by czytelniej malowały się dobroć, prostota, i jakieś zaniedbanie, będące skutkiem prac umysłowych i przyrodzonej ociężałości. W głosie i sposobie lekcyi Żukowskiego było coś szczególnie ujmującego, coś, że tak powiem, ojcowskiego. Nie lubił on zatrzymywać się nad szczegółami gramatycznymi i z góry powtarzał uczniom, że one są już im wiadome: młodzież nie gniewała

się za to pochlebne przypuszczenie, i lubo mniej usposobieni nie wiele odnosili korzyści z tej przedkij metody, nie mogąc dotrzymać kroku swojemu mistrzowi, wszyscy go jednak kochali. Examina z języków hebrajskiego i greckiego, zwykle udawały się nie najlepiej. Żukowski, który był szczerze prze-

*) Autor pisał ten ustęp w Wigilią Bożego Narodzenia.

konanym o naszych postępach, przypisywał to popolicie naszej lekkości; lecz zwierchność uniwersytecka domyslała się prawdy, i dla tój-to podobno przyczyny, Żukowski aż do śmierci był tylko adjunktem.

Agronomią wykladał nam znany w tym rodzaju pisarz Oczapowski. Jako profesor, nie umiał on uczynić powabnym swojego ważnego przedmiotu. Jego czytane lekcyje i, jakby na domiar złego, w godzinach wieczornych, *siały* agronomicznie *śłodkie spania i sny pożądana*. Lecz i bez tój cytaty powiedzić można, że Oczapowski obchodził się z agronomią niedbałęj, niżby wypadało, pomnąc, iż on pierwszy zaczął ją wykladać w Uniwersytecie Wileńskim.

Literatura francuzka za moich czasów miała dwóch przedstawicieli w panach: Pinabel i de Nève; lecz byli to przedstawiciele tak nazwanego we Francyi *tiers-état*. Pierwszy z nich był niegdyś lektorem przy Królu Stanisławie Augustcie, który, jak wiadomo, nie wymagał po swoich lektorach innych warunków, prócz dobitnego i zrozumiałego czytania; drugi, do objęcia katedry, utrzymywał pensjonat w Wilnie.

Regensem przez pierwsze trzy lata mojego pobytu w Seminaryum był Herbert, czyli, jak on lubił się nazywać, Mamert de Fulsztyn Herbert. Ta heraldyczna dokładność pomimowolnie przypomina innego jeszcze społecznego jej miłośnika: Wincetego z Ciechanowa Kiszkę Zgierskiego; i w rzeczy samej, można-by upatrzeć coś pokrewnego w tych dwóch szlachetnych latoroślach starożytnego szczepu. Nieszczęściem Głównego Seminaryum nazwać się może, iż od samego założenia wdzierali się doń na Regensów ludzie bez powołania i zdolności, wyjąwszy Kłagiewicza, który tę posadę krótko zajmował, i ostatniego Markiewicza, który był do niej zdolnym ile tyle. Herbert był to środek oddalający od swojego celu, była to niedołączność. Bez uczucia swoich obowiązków, bez przywiązania do nauk, bez daru przenikliwości, pojawił się on ze swoją władzą, jak gdyby dla sponiewierania jej zawsze nie w porę. Nie przebaczył-bym sobie tych wyrazów, gdybym się poczuwał do myśli, iż mogą być one skutkiem nie zupełnie jeszcze zatartych wspomnień przeszłej mojej zawilości. Ale, dzięki niebu,

nie czułem się nigdy zdolnym do tej niegodnej słabości; nigdy mi nie było ciężko widzieć czyjekolwiek zasługi i mówić o nich z uniesieniem: tą nawet razą nie mogę się odjąć przykremu uczuciu, iż nie podobna mi ukazać pięknej strony i powiedzieć cośkolwiek na pochwałę człowieka, na którego tak długo i z tak bliska patrzyłem.

Markiewicz, który nastąpił po Herburcie, gdyby nawet nie miał właściwych sobie zalet, a tylko był wolnym od wad swojego poprzednika, już i tak wydał-by się korzystnie. Nie można jednak powiedzieć, aby ten ostatni Głównego Seminarium Regens był bez talentów. Umiął on zbliżyć ku sobie i poznawać swoich młodych podwładnych, wyższym był nad drobnostki, któremi Herbut napelniał grubą księgę tak nazwanych dekretów, i dbał o sławę zakładu. Lecz stwierdził on tę znaną dyplomatyczną prawdę: iż badacz bywa zbadanym. Nader się mylą ci, którzy uważają przenikliwość za dar nabyty i nie udzielający się młodzieży. Ludzie tego rodzaju dowodzą tylko przez to, że nie mają prawdziwej przenikliwości, i że jej cudów nie widzieli w kobietach. Przeciwnie, powiedzieć można, że przenikliwość jest zdolnością wrodzoną, i jak wszystkie inne zdolności, przytępiającą się już w wieku dojrzałym, bo ze stanu instynktu, rzadko mylnego, przechodzi w zimną rachubę, w sztukę, w doświadczenie. Kto więc z miejsca swojego obowiązany jest do badania młodzieży i posyła własną przenikliwość na zwiady, nie powinien nigdy dozwalać sobie tego przypuszczenia, iż młode serca są tylko do czytania, same zaś czytać nie zdolne. Markiewicz, prócz tego, miał w swojej powierzchowności i układzie coś dwuznacznego i wzywającego do ostrożności; a w uniesieniach gadatliwej wymowy bardzo często przypominał natchnionego derwisza. Już w pierwszym roku swojego zarządu, który był ostatnim rokiem mojego pobytu w Seminarium, obudził on ku sobie nieufność. Dalszy czas okazał, ile mi wiadomo, że nieufność ta nie była bezzasadną.

Dziś wspomnę o trzech cenniejszych wileńskich kaznodziejach, których słyszałem: o Borowskim, Trynkowskim i Gąsowskim. Pierwszy z nich, brat znakomitego Leona, był kaznodzieją Uniwersyteckim. Posiada on w wysokim stopniu dar wymowy i najszcześniejszą powierzchowność. Ci, którzy słyszeli kazającego Kardynała Maurego, znajdują też samą okazałą postać, toż wymowne spojrzenie, też pełność głosu w Borowskim. Lecz dla zachowania mocnego wrażenia i dla sławy tego kaznodziei, potrzeba go słyszeć tylko raz jeden. Nie umię on być rozmaitym podług przedmiotu i wkrótce się do niego przywyka, jak do pięknego krajobrazu. Prócz tego, porównanie między nim i sławnym Maurym nie stosuje się bynajmniej do treści i stylu kazań.

Z Trynkowskim rok czy lat parę słuchaliśmy razem lekcyi uniwersyteckich, lecz stosunki nasze tém się tylko ograniczały, gdyż był on uczniem Dyecezyjalnego Wileńskiego Seminarium. Nie mogę więc powiedzieć, abym go znał blisko. Wtedy zaczynał on dopiero zawód kaznodziejski. Głos gibki, podatny, ozdobne wystowienie i młodzieńczy zapal, przemawiały za nim korzystnie i obiecywały z czasem znakomitego kaznodzieję. Takim stał się on teraz, jak tego dowodzą oddawane mu zewsząd pochwały. Lecz jego drukowane mowy pogrzebowe, które czytać mi się zdarzyło, nie zupełnie odpowiadają tej, tak prędko pozyskanj sławie, i pozostaje do obawy, ażeby wymuszenie i chęć źle pojętej górnosci, wada, którą przypisywano w początkach jego wiekowi, nie pozostała przy nim na zawsze.

Gąsowski obrał najpożyteczniejszy rodzaj wymowy kościelnej: homiletyczny i katechistyczny; w rodzaju tym nie ma on sobie równego. Ujmująca łagodność twarzy, głos słodki, dowody nie wyszukane lecz mocne i szlachetne, i—co tak jest rzadka, dar, prawdziwy dar mówienia pięknie i bez przygotowania: wszystko to tak korzystnie uprzedza i zniewala, że słuchacz wychodzi ze świątyni, przenikniony mocą prawd opowiadanych i mimowolnym szacunkiem ku mówcy.



F

14.245